

Kiedy pięć lat temu po raz pierwszy spotkałem na Suwalszczyźnie Mute i Wacka Sobaszków, założycieli i artystów słynnego Teatru Wiejskiego „Węgajty”, nie przypuszczałem, że kiedykolwiek będę miał możliwość z nimi bliżej współpracować. A jednak stało się to pod koniec ubiegłego roku. Połączyły mnie z tym teatrem wspólne kołędnicze wędrowki na Suwalszczyznę i w Beskid Niski.

Jadąc autostopem z Łodzi do maleńkiej warmińskiej wioski niedaleko Olsztyna czułem potrzebę poznania i zagłębienia się w muzyczną i teatralną tradycję kołędniczo-pasterską pełną rubasznego, nieokiełzanego humoru, ale i metafizycznego piękna starych kołęd i pastorałek. Nie będąc związany religijnymi więzami z tradycją chrześcijańską, odnajdywałem w tych inscenizacjach uniwersalne, pozareligijne wartości, które nawiązywały do rytualnych potrzeb rządzących każdą wspólnotą ludzką, dzielenia się z innymi ważnymi doświadczeniami i emocjami.

Sama wioska Węgajty do której przybyłem i w której domostwa spoczywają wzdłuż ogromnych, dyniowatych wzgórz, zamieszkała jest przez osadników: rolników, artystów przybyłych z różnych zakątków Polski a nawet i Europy. Różne koleje losu i historii pozbawiły te tereny jej rdzennych mieszkańców więc i kultura tworzy się tu wciąż na nowo. Kiedy na początku lat osiemdziesiątych przybyli tutaj pierwsi aktorzy, aby zamieszkać wspólnie i założyć teatr, na swoje potrzeby zaadaptowali starą stodołę, która po wielu przeróbkach doskonale służy obecnie jako sala teatralna, miejsce pracy warsztatowej a także miejsce wspólnych zabaw tanecznych.

Kiedy przystępujemy do próby w 10-osobowym międzynarodowym zespole, w którym znajduje się dwójka Szkotów i Ukrainka, kolejno ożywiamy poszczególne postacie kołędniczego spektaklu, a więc: kozę i Cygana, Heroda, śmierć i diabła, bociana i Żyda. Nasz wehikuł czasu rusza ostro wstecz, przebijając się przez patynę przeszłości i docierając do miejsc przebywania dusz wiejskich kołędników i szalonych grajków. Świat chrześcijańskich przekazów wiruje wraz z ludowymi, pasterskimi zwyczajami

Kolędnicze wędrówki

tworząc obrazy niczym z brugelowskich malowideł. Kiedy nikną obrazy, pojawia się dźwięk świetlistych kolęd i pastorałek. Śpiewane na kilka głosów stare kolędy polskie, ukraińskie i białoruskie przywołują na przemian atmosferę radości i podniosłego skupienia. Nocą po odbyciu pracowitych prób udajemy się na wspólne obcowanie z lasem. Jest pełnia księżyca, przy której grupa ludzi biegnących w milczeniu w dzikie ostępy leśne, wydaje się czymś niedorzecznym. I tu również znajdują się niespodzianki, kiedy wbiegamy bowiem na wysokie, pokryte trawą wzgórze nasz przewodnik a za nim pozostałe osoby turlają się z pagórka w dół niczym pnie powalonych nieznana siłą drzew.

Po północy udaję się na nocleg do

gospodarstwa Torstena, młodego Niemca, który mieszka tutaj od kilku lat z rodziną. Słynie w całej okolicy z produkcji pysznego żółtego sera. Dzięki temu mam okazję zaznajomić się również z ludźmi, którzy szukają swego miejsca z dala od zgiełku wielkiego miasta. Nie jest to życie łatwe i wygodne. Widok pozabawionych tynku ścian w jego pięknym, starym domu mówił mi sam za siebie.

Po kilku dniach prób nasze przedstawienie kolędnicze jest gotowe, więc spieszenie udajemy się ze wszystkimi rekwizytami w podróż na Suwalszczyznę. To tam w małej wiosce Stabieńszczyzna pod Sejnam zagubionej wśród jeszcze większych wzgórz ma odbyć się dalsza część naszego wspólnego wędrowania. Sama miejscowość nie jest mi obca, wielokrot-

nie miałem tutaj okazję realizować z *Eko-Art Village* Waldemara Czechowskiego, różnorodne projekty artystyczno-ekologiczne dla miejscowej społeczności. Waldek w swojej starej, drewnianej chacie wrosniętej we wzgórze nad jeziorem Białym, wyglądający jak ruski patriarcha ze starej ikony, już na nas czekał z pyszną, gorącą zalewajką, która powoli a skutecznie ożywiała zmęczone podróżą ciała. Po odzyskaniu sił i odczekaniu wieczora orszak kolędniczy ruszył w Stabieńszczyznę, poprzedzony zapowiedzią tubalnego dźwięku ligawki, 4-metrowej trąby pasterskiej, która niczym ryk mitycznego tura zapowiadała światu coś nowego.

Odwiedziny kolędników są tutaj gorąco oczekiwane przez mieszkańców wioski. Po szczególne domy otwierają się dla nich niczym sezamy, obdarzając w zamian za kolędę, pysznymi sernikami, sękaczami i trunkami. Były i domy, w których żaloba po kimś bliskim nakazywała gościom nie radować się lecz dodawać otuchy pograżonej w smutku rodzinie. Nie zawsze także sama przyroda dobrze obchodziła się z tym niecodziennym orszakiem. W sylwestrowy wieczór ostra zamieć śnieżna dała tęgiego łupnia wędrowcom. Tumany białego puchu wciskały się wszystkimi szparami pod ubrania, zalepiały oczy i instrumenty muzyczne. Nie obeszło się bez strat. Na śliskiej drodze Marika nie zdołała ustrzec się upadku i jej skrzypce przez dłuższy czas zostały wyłączone ze spektaklu. Jednak trud drogi i wspólnego wędrowania jest częścią spektaklu życia, więc kolędnicy przyjmowali wszystko co ich spotykało w dobrej wierze i podążali wciąż dalej. Dalej, to znaczy do Nowicy w Beskidzie Niskim, w której kolędowanie Węgajt ma już bogatą, kilkuletnią tradycję. Przeskok na drugi kraniec Polski poprzedzony został kilkudniową przerwą i kolejną długą podróżą. Tu również otworzył się przed kolędnikami świat różnorodnej kultury zapisanej w pamięci starych górali i łemkowskich drewnianych chat. Ponieważ był to czas świąt prawosławnych Bożego Narodzenia, obchodzonych zgodnie z kalendarzem gregoriańskim dwa tygodnie po świątach katolickich, dlatego ta szczególna atmosfera radości, która jest przypisana tym radosnym gdom nie odstępowała gości. Choć przydarzały się czasami sytuacje mrozzące krew w żyłach. Stało się tak, kiedy w pobliskiej wsi Bielance o północy orszak natrafił na swojej drodze na Szymona – rzeźbiarza, którego piękne ikony wystrugane w drewnie



foto Joanna Zbiegien

można było spotkać na ścianach różnych cerkwi. Szymon – w normalnych warunkach chłop do rany przyłóż – pod wpływem mocnego alkoholu przeistaczał się w demoniczną postać. Całe szczęście, że w krytycznym momencie, gdy zanosilo się na ostrą konfrontację, po kolędników przyjechał kierowca – przewoźnik, który wyrwał nieszczęśników z rąk furiata. Na szczęście inne wizyty we wsiach były już dużo bezpieczniejsze i normalniejsze. A to dom z ósemką dzieci, dla których spotkania kolędników z kozą i bocianem było nie lada atrakcją, a to stary cieśla, który zaskoczony przy pracy nad całą stertą drewnianych baranków odwzajemnił się im pokazaniem koziołka sarny, który był w jego domu prawdziwym członkiem rodziny. Wielu mieszkańców

foto Judith Milligan



wioski zapraszało na czas kolędy swoje rodziny, aby mogli uczestniczyć w tych wspólnotowych godach. Ożywały więc stare wiejskie historie, rodzinne przekazy i rytualne toasty. Rozpalone piece grały i gaworzyły muzyką bulgocącej wody i syku podgrzewanych bigosów. Rozmowom, śpiewom i tańcom nie było końca. Jednak nasz pobyt w gościnnej Nowicy dobiegał powoli do końca. Żegnaliśmy to miejsce z jego ludźmi i przyrodą, zatopionych w majestatycznych górach z poczuciem bycia częścią tego krajobrazu.